

Dokonania Towarzystwa Jezusowego w Polsce w końcu XVI wieku są dowodem, że niewielka, ale zdeterminowana grupa ludzi jest w stanie wyrzucić przemożny wpływ na cały naród. W roku 1640, gdy sieć ich szkół i kolegiów była już gęsta, w Rzeczypospolitej działało 1432 jezuitów.[1] Kilkadziesiąt lat wcześniej musiało ich być znacznie mniej. Pieniądze otrzymywali głównie od ludzi, których musieli sobie najpierw zjednać. Mieli jednak dobre pomysły, które wytrwale i konsekwentnie realizowali. Potrafili dotrzeć do wszystkich grup społecznych. Byli spowiednikami królów i magnatów. Nauczali szlachecką młodzież w swoich kolegiach, a potem także na uniwersytetach. Tworzyli przeróżne bractwa - dla szlachty, dla mieszczan, dla chłopów i dla wszystkich. Nie było w tym jeszcze niczego złego. Mogli to robić również protestanci i w jakimś stopniu robili, ale nie z taką gorliwością i rozmachem, jak ich przeciwnicy.

Jezuici z ludźmi, którzy znaleźli się pod ich wpływem pracowali różnymi metodami, starając się o wzmocnienie ich przywiązania do katolicyzmu. Przeszczepili do Polski czterdziestogodzinne adoracje *Najświętszego Sakramentu*. Wprowadzili nowe ćwiczenia duchowe dla wiernych - rekolacje i opracowane przez Ignacego Loyolę medytacje. Biorąc wzór z protestantów, zaczęli wydawać katolickie katechizmy. Pisali nowe pieśni kościelne. Piotr Skarga jest podobno autorem kolędy *W żłobie leży*. Układali nowe modlitewniki. Wskrzesili też zwyczaj publicznego biczowania się. O tym, jak wielki był wpływ jezuitów na Polaków, świadczy chociażby to, że wymyślone przez nich pozdrowienie „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” weszło do powszechnego użytku.[2]

Po kilkudziesięciu latach działalności jezuitów owoce ich pracy stały się widoczne dla wszystkich. Jakiś nieznany z imienia i nazwiska szlachcic piszący w początkach XVII wieku stwierdził, że coraz mniej jest katolików, którzy nie noszą różańca u pasa, nie „liżą” obrazków i słuchają księży tylko w sprawach wiary, a coraz więcej takich, którzy ulegają im we wszystkim.[3]

Właściwie wszystkie zmiany w katolickim duszpasterstwie, do których pod wpływem

jezuitów doszło w Polsce, dawały kapłanom możliwość budzenia w katolikach silnych pozytywnych emocji związanych ze swoją wiarą. Niechęć do tych, którzy jej nie podzielali, rodziła się niemal „sama”. Już w dziesięć lat po pojawieniu się tego zakonu w Królestwie Polskim polscy protestanci pierwszy raz tej niechęci boleśnie doświadczyli.

Studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego byli w tym czasie w większości wrogo usposobieni do protestantów. Z pewnością wielu z nich uczyło się wcześniej w jezuickich kolegiach. 10 października 1574 roku w Krakowie w tak zwanym „Brogu”, budynku zborowym użytkowanym wspólnie przez luteran i kalwinistów, odbywał się ślub. Obserwującego ceremonię studenta do tego stopnia oburzyło, że nie wzywano imienia *Maryi* ani świętych, że zorganizował swoich kolegów i zaatakowali budynek. Szybko dołączyli do nich mieszczanie i plebs. Protestanci stawili opór i dopiero po trwającym trzy dni oblężeniu „Bróg” został zdobyty i splądrowany. Zginęło dwóch obrońców. W zborze przechowywano depozyty pieniężne członków kościoła. Oblegający pewnie o tym wiedzieli i to tłumaczy ich zawziętość. Rafał Leszczyński stracił 40 tysięcy złotych, a Stanisław Karniński 3 tysiące. 26 października ścięto na Rynku pięciu uczestników rozruchów. Byli to wyłącznie plebejusze. Studentów wziął w obronę sam kardynał Stanisław Hozjusz. *Czego nie śmiał ani król, ani biskupi, to zrobili się ośmielili studenci akademii krakowskiej, godni wiekuistej pamięci, których chwałę cały Kościół słać będzie. Karać ich za to, byłoby ściągać na cały kraj pomstę Bożą, raczej nagrodzić należy i starać się z całych sił, aby na miejsce zniszczonego Brogu żadna nie powstała synagoga szatana*. Te słowa wymiar sprawiedliwości najwidoczniej wziął sobie do serca. Wbrew życzeniom kardynała krakowscy protestanci odbudowali jeszcze wtedy swój zbor, ale wrogość katolików narastała. 24 czerwca 1575 roku gawiedź wykopała z grobu i włożyła po mieście zwłoki wojewody Stanisława Myszkowskiego.[4] Oprócz wojewody wykopano wtedy z grobów wielu innych zmarłych. Powtórzyło się to w roku 1577. Podczas tych rozruchów ograbiono domy kalwińskich kupców na przedmieściach Krakowa. Rok później motłoch zaatakował

kondukt pogrzebowy. Zmarłego wyjęto z trumny, obdarto z szat, włożono na sznurze po ulicach i w końcu wrzucono do Wisły.

W następnych latach podejmowano kolejne próby zlikwidowania innowierczych budynków w stolicy Rzeczypospolitej. Po śmierci króla Stefana Batorego tłum znów zdemolował zbor kalwiński i ariański. Ostatecznie katolicy dopięli swego w roku 1591. Spalony został wtedy „Bróg” i już go nie odbudowano, a budynek zboru ariańskiego rozebrano.[5] Panował już wtedy Zygmunt III Waza i można podejrzewać, że wszystko to działo się za jego poparciem.

Do podobnych incydentów dochodziło w innych miastach. W roku 1581 uczniowie wileńskiego kolegium jezuickiego obrzucili kamieniami kalwiński pogrzeb.

W roku 1596 obrabowano poznański zbor braci czeskich. W roku 1606 zniszczono go ponownie, a poza nim zbor luterski. W roku 1616 Poznań został ostatecznie oczyszczony z „heretyckich bożnic”. Uczniowie jezuickiego kolegium zrównali z ziemią zarówno budynek należący do braci czeskich, jak i luterski.

W Lublinie osiągnięcie tego celu wymagało większego wysiłku. Pierwszy tumult w tym mieście miał miejsce w roku 1611. Do kolejnych doszło w latach 1614 i 1620, aż w końcu w roku 1627 lubelskie zbory kalwiński i ariański przestały istnieć. Gdy w społeczności miasta zostały wzbudzone odpowiednie emocje, wywołanie rozruchów było już sprawą prostą. Potrzebna była grupa gorliwych katolików, najczęściej wychowanków jezuitów, która zaatakuje zbor, cmentarz czy nawet prywatny dom. Było pewne, że dołączy do nich lud - zarówno ci jego przedstawiciele, w których fakt istnienia *herezji* budził gniew, jak i ci, którzy w powstałym zamieszaniu zamierzali łupić sklepy czy mieszkania, mając nadzieję na bezkarność.[6] Tumulty, o których wspominałem, wybuchły w miastach, w których działały jezuickie kolegia. W Wilnie założono je w roku 1570, w Poznaniu w roku 1572, a w Lublinie w 1582.[7]

Wykorzystanie w Rzeczypospolitej władzy ►

państwowej przeciwko herezji na wzór zachodnioeuropejski nie było możliwe. Po pierwsze, *Konfederacja Warszawska* zakazywała takich represji. Po drugie, ta władza nie radziła sobie nawet z zapewnieniem elementarnego porządku. Już w roku 1540 Stanisław Hozjusz zauważył, że w Polsce więcej ludzi ginie z rąk morderców niż na wojnach.[8] Jezuici uznali, że w tym stanie rzeczy tumulty są skutecznym sposobem zwalczania przeciwnika. Mimo wszystkich prawnych gwarancji polscy protestanci zaczęli płacić za swoją wiarę majątkiem, a nawet życiem. Zaczyna-

li się z nią kryć. Znikały też budynki zbrojowe. Naród stopniowo przestał zauważać, że innowiercy istnieją.

cdn.

Przypisy:

[1] J. Tazbir, *Historia kościoła katolickiego w Polsce (1460 – 1795)*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1966, s. 130.

[2] J. Tazbir, *op. cit.*, str.108 – 110.

[3] J. Tazbir, *Reformacja, kontrreformacja, tolerancja*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996, s.138.

[4] https://pl.wikipedia.org/wiki/Tumult_krakowski_1574

[5] J. Tazbir, *Historia kościoła katolickiego w Polsce (1460 – 1795)*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1966, s. 72– 73.

[6] J. Tazbir, *op. cit.*, s.73 – 74.

[7] D. Spławski, *Reformacja, kontrreformacja i antyjezuityzm w Polsce w XVI i XVII wieku*, Warszawskie Seminarium Teologiczne, Warszawa 2005, s.13.

[8] B. Kosmanowa, *Modrzewski i jego przeciwnicy*, LSW 1977, s.72.

Antoni Woźniak

WSPOMNIENIA

opracował Piotr Setkowicz

DO INNEGO
OBWODU CZ. 5

ARESZTOWANIE

W połowie 1942 roku doszła do nas wiadomość, że konwój płynący do Murmańska został zaatakowany na Morzu Białym przez samoloty niemieckie, co spowodowało duże straty na polskim okręcie. Udałem się do szpitala wojskowego w Archangielsku, gdzie bardzo uprzejmie przyjął mnie ordynator, Ukrainiec mówiący trochę po polsku, który powiedział, że osobiście zajmuje się naszymi rannymi. Byłem w angielskim płaszczu i mundurze. Lekarz ten wziął mnie za jakiegoś przedstawiciela władz wojskowych. Pokazał mi trzech ciężko rannych po operacjach. Jeden z nich był po amputacji nogi. Pamiętam nazwisko jednego z nich. Nazywał się Bomba.[1]

W drugiej połowie 1942 roku w stosunkach polsko-sowieckich nastąpiła zmiana na naszą niekorzyść. Delegatura naszej ambasady w Archangielsku została zlikwidowana przez NKWD. Aresztowano jej kierownika pana Gruję i jego zastępcę pana Kuczyńskiego.[2] W tej sytuacji kontaktowałem się z naszą ambasadą w Kujbyszewie, dokąd wysyłałem wykazy i sprawozdania z rozdzielania darów. W związku z panującą w osiedlach chorobą zwaną kurzą ślepotą telegraficznie zwróciłem się do ambasady z prośbą o przydział tranu dla chorych.[3] Otrzymaliśmy za potwierdzeniem w Archangielsku 200 litrów tranu. Rozprowadzony wśród chorych przyczynił

się do poprawy stanu ich zdrowia. Przywrócił też siły ludziom zupełnie wycieńczonym. Niektórzy z nich po długim czasie leczenia na pryczy zaczęli chodzić.

Ponieważ władze nie interesowały się tą sprawą, zorganizowałem w większym baraku w Wardzie nauczanie języka polskiego, rachunków, geografii dla polskich dzieci. Nauczycielkami zgodziły się zostać panie Kasnerowa, Konstancyńiczowa i Alingerowa. Korzystały z książek, które przywiozły ze sobą. Tym paniom należy się wdzięczność za to, że w miarę swoich możliwości broniły w ten sposób polskości.

Jak wspominałem, cały ciężar pracy administracyjno-biurowej spoczywał na barkach pana Karpowicza. Dzięki zezwoleniu Wydziału Zdrowia w Archangielsku udało się zorganizować podręczną apteczkę, w której było kilkaset niezbędnych leków. Prowadził ją pan Karpowicz i zgłaszającym się wydawał leki bezpłatnie. [Tych leków chyba nie mogło być „kilkaset”. Matka zawsze wspominała, że ich brakowało i na pobudzenie akcji serca robiła mi zastrzyki z kamfory, bo niczego innego nie było – uwaga córki A. Woźniaka] Otrzymaliśmy też przez pewien czas z ambasady polskiej w Kujbyszewie gazetę pod tytułem „Polska” – wprawdzie tylko 4-5 egzemplarzy dla 9 osiedli.

Wkrótce nastąpiły zmiany w obsadzie ambasady w Kujbyszewie. Odszedł dotychczasowy ambasador prof. Stanisław Kot, a jego obowiązki przejął Tadeusz Romer, wybitny dyplomata przedwojenny. Niepokoiły nas te zmiany. Martwiliśmy się o swój los. Moje starania o ulżenie doli rodaków, interwencje i skargi nie bardzo podobały się władzom sowieckim. Byłem dla nich niewygodny.[4]

10 lutego 1943 roku zostałem aresztowany przez naczelnika NKWD rejonu Chołmogory przy udziale komendanta rejonowego milicji. Osadzono mnie w więzieniu w Archangielsku na ulicy Róży Winogradowej. Po tym, jak wszedłem w mury więzienia, zaprowadzono mnie pod konwojem do jakiejś izby, gdzie dwóch funkcjonariuszy dokonało nadzwyczaj drobniagowej rewizji osobistej. Odpruwali podszewki ubrania, szukali w szwach, kieszeniach, bieliźnie. Trwała ona około pół godziny. Podczas zatrzymania byłem we własnym ubraniu cywilnym. Odebrano mi pasek, szelki, krawat, portfel z dokumentami i gotówką, złotą obrączkę z palca, srebrny medalik z łańcuszkiem z szyi i grzebień. Miałem wtedy przy sobie 1300 rubli.

Gdy po roku udało mi się zawiadomić żonę, gdzie jestem, przekazałem jej, aby zgłosiła się po odbiór moich rzeczy osobistych do Archangielska. Poszła z panią Litwi-